

PIOTR PODGÓRSKI



Jakimi ścieżkami może chodzić miłość?

TRZY RAZY
miłość

Książka pełna uroku i magicznych zdarzeń. Polecam!

Magdalena Witkiewicz

L I R A
WYDAWNICTWO

TRZY RAZY
miłość

PIOTR PODGÓRSKI

TRZY RAZY
miłość

L i R A
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2018

ISBN: 978-83-65838-35-3

Ewelina czuła, że ten dzień będzie inny. Nie potrafiła tego racjonalnie wytłumaczyć, po prostu coś wisiało w powietrzu. W nocy kiepsko spała, budziła się parokrotnie. Wstała wcześniej rano i patrząc w lustro, po raz kolejny powtórzyła w myślach, że musi... zwyczajnie musi coś zmienić w sobie, w swoim życiu, choć jeszcze nie wiedziała co konkretnie. Ale tak dalej być nie mogło. Wpadała w obsesję. Zdawało jej się, że ktoś grzebał w jej komputerze, przeszukiwał jej biurko, miała wrażenie, że ciągle ktoś ją śledzi i podsłuchuje. Od tej roboty dostawała paranoi! Co gorsza, pod oczami pojawiły jej się cienie i pierwsze zmarszczki

mimiczne. Niedobrze. Wręcz fatalnie, biorąc pod uwagę, że była kobietą.

Poranna toaleta i codzienny rytuał — krople gorącej, świeżo parzonej w ekspresie kawy powoli kapły do kubka, dając znak do rozpoczęcia dnia. Leniwie włączyła komputer, by sprawdzić pocztę. Nic ważnego. Jak zwykle jakieś grupowe wiadomości, których nawet nie czytała — od razu wylądowały w folderze „spam”. Odsunęła krzesło i podeszła do dużego okna. Parę lat temu otrzymała apartament na Mokotowie jako rekompensatę po rozwodzie.

Rekompensata... Czy za cenę mieszkania można zwolnić się z przysięgi małżeńskiej, dać sobie spokój, wykpiwając się ze zobowiązań namiastką odszkodowania za... straty moralne? Przecież to miało być na zawsze, do końca, tak sobie przysięgali. Zaraz po ślubie zaszła w ciążę i parę miesięcy później w wypadku samochodowym straciła dziecko. To nie była jej wina. Pijany kierowca w oplu corsie zjechał ze swojego pasa wprost na jej samochód. Nigdy nie winiła siebie za to, co się stało, ale nie była ślepa. Od tamtej pory coś się między nimi popsulo, mąż wracał coraz później z pracy, przestali dzielić wspólne pasje, zaczęli życie obok siebie. W końcu przyszedł i wyznał wprost, że ma kogoś i jest mu przykro, że muszą się rozstać, ale tak będzie najlepiej.

Czy w ogóle obchodziło go, jak się czuła? „Jest mi przykro” — trzy słowa bez większego znaczenia. Do tego wypowiedział je takim tonem, jakby przepraszał za brak cukru do herbaty.

Tamtego wieczora zrozumiała, że owszem, była mu potrzebna, ale nigdy jej nie kochał. Znali się od dziecka, zawsze razem, nierozłączni — wspólna podstawówka, liceum, potem ten sam kierunek studiów, dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim, wreszcie praca w jednym wydawnictwie, a później w znanej gazecie ogólnopolskiej. Teraz mijali się czasem na korytarzu, wymieniając zdawkowe uwagi i uśmiechy. To było dopiero przykre.

Z zamyślenia wyrwały ją wibracje telefonu komórkowego. Powoli podeszła do stołu, przeczuwając, a raczej obawiając się, że odezwie się ktoś, z kim nie chciałaby rozmawiać. Spojrzała na wyświetlacz. Numer nieznanym. „Może nie odbiorę albo odrzucę połączenie?”

Zwyciężyła ciekawość.

— Halo, słucham? — rzuciła do słuchawki ochrypłym z niewyspania głosem.

— Pani Ewelino, mówi Szymonowicz. Mam pytanie i jednocześnie dużą prośbę. Czy może pani bezpośrednio po przyjeździe do pracy zjawić się u mnie?

— Usłyszała nosowy głos prezesa.

— Oczywiście, panie prezesie. Czy coś się stało?
— zapytała, nerwowo przełykając ślinę.

— Nie, nic takiego, mam dla pani ważne zadanie. Tylko pani się do tego nadaje. Ale oczekuję dyskrecji. Czekam. — Po tych słowach przerwał połączenie.

Odłożyła komórkę i zadumała się. Co mogło być aż tak ważne, że została wezwana przez samą „górcę” w trybie pilnym? „Jak to ujął? — myślała gorączkowo. — Że jestem niezbędna? I jeszcze ta dyskrecja”. Owszem, przydawała się w jej zawodzie, ale po co o tym przypominał? Nie zwykła paplać bez potrzeby, była doświadczoną dziennikarką. Dlatego prośba prezesa wydała się jej co najmniej dziwna. Czyżby znów jakaś informacja o płatnej protekcji w Sejmie albo przeciek o wniosku opozycji w sprawie odwołania rządu? Intrygowała ją ta niewiadoma.

Paręnaście minut później, kiedy zbiegała do podziemnego garażu, ogarnęło ją znowu to złowrogie uczucie, które towarzyszyło jej od jakiegoś czasu. Miała wrażenie, że jest obserwowana, ale szybko odrzuciła tę paranoiczną myśl. Wsiadła do swojego czarnego peugeota i przekręciła kluczyk. Odetchnęła z ulgą, gdy silnik zaskoczył po pierwszej próbie. Celowo założyła czarną sukienkę od Paprockiego oraz stylowe szpilki marki Gucci, chociaż w żaden sposób nie pasowały do charakteru jej pracy, a cały

strój nadawał się bardziej na wieczór niż do biura. Chciała być seksowna, zwłaszcza podejmując grę, której nie rozumiała. Przez całą drogę gorączkowo zastanawiała się, dlaczego sam prezes wezwał ją do siebie o tak wczesnej godzinie. Nadziei na awans raczej nie miała. „Prędeż mnie zwolnią, bo nadepnęłam komuś ważnemu na odcisk albo dokopałam się do jakichś brudów — pomyślała. — Wrażenie bycia śledzoną to już chyba zboczenie zawodowe. Zdecydowanie potrzebuję zmian”.

* * *

Marta wierciła się niecierpliwie na twardym krześle, czekając na korytarzu na swoją kolej. Szpital św. Józefa w Toruniu — oddział onkologiczny. Jakże często tutaj bywała... Za często — od prawie czterech miesięcy. Smutne miejsce. Mdły, szpitalny zapach i blade ściany sprawiały, że chciała stąd uciec. Wołałaby nie usłyszeć kolejnego wyroku, nie chciała teraz umierać, teraz, kiedy między nią a Krzysztofem zaczęło się lepiej układać. Tak wiele już przeszła w życiu. Mijających ją ludzi ledwie odróżniała od nijakich ścian — byli równie szarzy i smutni. Snuli się bez nadziei

na przyszłość, umierając za życia, bo brak wiary w wyzdrowienie sprawiał, że już czuli się trupami.

Wiadomość o nowotworze przyszła nagle. Nie odczuwała wcześniej żadnych dolegliwości, a na badania zdecydowała się czystym przypadkiem. Towarzyszyła teściowej, która czuła się nie najlepiej. Poddała się badaniu za jej namową. Wcale nie miała na to ochoty, ale wolała ustąpić, niż wdawać się w jałowe dyskusje. Matka Krzysztofa była równie uparta jak jej syn. A jednak — dzięki temu poznała prawdę. Wyniki analizy krwi wykazały, że coś jest nie tak. Dalszych testów najchętniej wcale by nie przeprowadzała. Bała się...

Ostatecznie nowotwór okazał się złośliwy. Nie domyślała się, że gorączkowanie, bóle mięśni, duża senność oraz ogólne zmęczenie to symptomy choroby. Diagnoza brzmiała jak wyrok. Marta nie była na to przygotowana. Zresztą, kto jest... Mieszkała na Podgórzu, w ubogiej dzielnicy Torunia, gdzie prawie wszyscy znali się z imienia. Nie dało się ukryć takiej „nowiny”. Odtąd sąsiedzi patrzyli na nią z litością i szeptali za jej plecami. Niektórzy gadali o niej, jakby już przeniosła się na tamten świat. A przecież ona ciągle żyła!

Wycofała się, ukryła, prawie nie wychodziła z domu. Jedynym jej łącznikiem z rzeczywistością

był Krzysztof, który, o ironio, wreszcie miał ją całą dla siebie. Jej mąż uchodził za mruka i tyrana, ale Marta nie myślała o nim w ten sposób. Nie po dzieciństwie spędzonym w towarzystwie władczej matki i ojca pantoflarza. Owszem, nie była aż tak zaślepią, by nie widzieć, że Krzysztof również wykazywał zapędy dyktatorskie. Lubił, gdy wszystko układało się po jego myśli, ale chętnie się na to godziła. Pragnęła zaznać wreszcie w życiu trochę szczęścia, chciała, żeby ktoś ją kochał. A ostatnio ich stosunki wyjątkowo się ociepliły, martwił się o nią. Mimo tragizmu sytuacji — to było miłe. Dla niego chciała żyć. Choć teściowa mruczała, że co z niej za żona, z rakiem, przez którego wyglądała jeszcze gorzej niż zwykle, a na dokładkę, jak to ujęła, podobno Marta nie szanowała swojego męża. Nie szanowała? Bo wbrew jego życzeniu pojechała do rodziców, by powiedzieć im o chorobie? A co, mieli się o wszystkim dowiedzieć z nekrologu?! Ale teściowa widziała pewne sprawy po swoim. Marta podsłuchiwała jej rozmowę z Krzysztofem, gdy wpadli ostatnio z wizytą. Właściwie nie podsłuchiwała — teściowa celowo mówiła tak głośno, aby wszyscy słyszeli. „Zbuntowana jałowa myszka” — tak ją nazwała. Jakie to było upokarzające! Wiedziała, że powinna walczyć, o siebie, o swoje małżeństwo, że

nie wolno jej beczynn timer siedzieć i płakać. Co z tego, że była typem szarej myszki, że nie dbała zbytnio o siebie — Krzysztof wcale od niej tego nie wymagał. Żona powinna być dla męża, nie dla świata, a ona chciała być dla niego wspaniałą żoną, najlepszą. Tylko że ostatnio nie miała już na to siły.

Bała się, że i czasu nie zostało jej za wiele.

— Pani Marta Bielicka! — Z impetem nagle otwieranych drzwi padła komenda wydana bezbarwnym głosem.

— Tak, jestem. — Marta zerwała się z krzesła, tułac do piersi czarną, niemodną już skórzaną torebkę.

— Proszę wejść. — Pielęgniarka przepuściła ją w drzwiach, tarasując jednocześnie część wejścia, jakby chciała obronić gabinet przed naporem tłumu smutnych ludzi z korytarza.

Marta powoli weszła do gabinetu. Usiadła na krawędzi krzesła, splotła dłonie i spuściła wzrok, gapiąc się na czubki butów lekarza. Zastygła w oczekiwaniu na jego słowa. Poczwała, że jej ciało coraz mocniej drży, a dłonie zaczynają się pocić. Ostatnio tyle się działo. Kolejne badania i kwalifikacje do tej czy innej metody terapeutycznej, podobno ratującej jej życie — nie pozostały bez echa. Wpłynęły na jej psychikę. Czy istniała jeszcze nadzieja? Dziś lekarz miał podjąć decyzję o sposobie leczenia. Biorąc do

ręki dokumenty z ostatnimi badaniami, spojrzął na nią i na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju zaskoczenia. Zlustrował Martę uważnie zza plastikowych soczewek okularów, jakby chciał zapytać, o co tu chodzi.

Przeglądał wypełnione formularze analiz, wydruki z urzędzeń laboratoryjnych, czytał opisy badań, potem odłożył papiery i znowu przyjrzał się pacjentce. Marta, sparaliżowana strachem, nie potrafiła się poruszyć.

— Pani Marto, mam dla pani dobrą i złą wiadomość. Od której zacząć? — zapytał, obserwując jej reakcję.

— Od złej, doktorze — zdecydowała, spuszczaając wzrok i czując, że walące serce zaraz wyskoczy jej z piersi.

— Musimy powtórzyć ostatnie badania — powiedział szybko, jakby od razu chciał przejść do drugiej informacji. — A teraz dobra wiadomość. Jeżeli nie pomyłono kart, jest pani zdrowa! Chłoniak się cofnął. Wyniki są idealne! Jak u zdrowego człowieka. Ale chyba pani rozumie... Musimy powtórzyć wszystkie badania, by wykluczyć pomyłkę. Potem trafi pani na obserwację. Będziemy się regularnie spotykać, początkowo co tydzień, potem stopniowo coraz rzadziej. Nigdy nie spotkałem się

z przypadkiem, żeby rak się tak po prostu wycofał, bez leczenia chemioterapią czy innymi znanymi metodami. U pani wszystko samo zniknęło. Można to nazwać remisją. Lub cudem, o ile pani jest wierząca — dodał, kierując wzrok na medalik z Matką Boską, który spoczywał na jej piersi. Zamyślił się na dłuższą chwilę i kontynuował: — To wbrew nauce, medycynie i wbrew powszechnie znanym opisom przypadków. Oczywiście ludzie wychodzą z tego typu chorób, ale pani miała chłoniaka, a to jest nowotwór atakujący układ limfatyczny. Rozumie pani, co mówię? — zapytał delikatnie, dotykając dłoni Marty, jak gdyby chciał zbadać jej puls. — To bardzo poważna choroba, a teraz wychodzi na to, że wszystko minęło. Nie potrafię tego wyjaśnić. Ale takie rzeczy się zdarzają i cieszę się, że spotkało to akurat panią. Choć naprawdę nie pojmuję... — szepnęła bardziej do siebie niż do pacjentki. — Siła wyższa...

Marta też nie rozumiała. Słuchała słów lekarza jak niestosownego żartu. Bała się uwierzyć w powrót do zdrowia. Teraz, gdy już niemal pogodziła się ze śmiercią. Gdy wszystko, co ważne, stało się odległe, a ona sama jakby zobojętniała. Od chwili gdy dowiedziała się o chorobie, powtarzała w kółko magiczne mantry. „Przecież to tylko przejście w lepszy świat” — tłumaczyła sobie, tuląc się do

męża wieczorami. Nie zawsze pomagało. Ostatnie miesiące to była ciągła bitwa, walka toczyła się między wiarą a rezygnacją. Dwa światy. Anioł nadziei i demon śmierci. Ostatnio, jak jej się zdawało, zwyciężał jednak demon...

Mieli z mężem umowę, że nie będą rozmawiali o tym, co się dzieje, że nie dadzą się zwariować. Płakała, ale w środku. Mimo wszystko starała się być taka jak zwykle, choć dręczyło ją wiele pytań bez odpowiedzi. Co będzie z Krzysztofem? Jak sobie sam poradzi? Czy powtórnie się ożeni?

Teraz pojawiły się nowe niewiadome. Czy skoro wyzdrowiała, wszystko już będzie dobrze? Na nowo odbudują swój bezpieczny świat, by żyć w nim w harmonii i szczęściu? Nie wiedziała, nie miała pewności, do oczu cisnęły się łzy.

Musiała poszukać nowego punktu zaczepienia. Skończyła zaledwie dwadzieścia dziewięć lat. Chciała mieć dzieci i prawdziwą, pełną rodzinę. Tak, była bezpłodna, teściowa w kółko jej to wypominała, ale Marta wierzyła, że również z tego może się wyleczyć. Wiedziała, komu zawdzięcza tę nadzieję. Jej myśli na moment pobiegły w odległy zakątek Polski.

Lekarz mówił dalej, ale nie słuchała go zbyt dokładnie. Wreszcie zaczęła do niej docierać niesamowita prawda. Poczwała taki przyływ euforii, że

zakręciło jej się w głowie. Była bliska omdlenia. Opanowała emocje resztkami sił, wstała i skierowała się do wyjścia. W myślach słyszała tylko jedno triumfalne zdanie: „Jesteś zdrowa, Marto!”

— Pielęgniarka zapisze panią na kolejną wizytę kontrolną — dodał nieco głośniejszy lekarz, widząc, że pacjentka ledwie go słucha. — Dobrze się pani czuje? Pani Bielicka?

— Tak, przepraszam. To dla mnie za dużo jak na jeden raz. — Zatrzymała się w połowie drogi do drzwi.

— To mnie akurat nie dziwi. Oby diagnoza się potwierdziła... Jest dobrze, pani Marto! — Odprowadził ją do wyjścia, ściskając dłoń na pożegnanie.

Nie wiedziała, jak znalazła się na ulicy. Dopiero ciepły powiew wiatru przywrócił jej pełną świadomość. Z tego wszystkiego zapomniała zapisać się na wizytę kontrolną. Nerwowo poszukała w torebce komórki — starego modelu nokii — i wybrała numer męża. Odebrał po trzecim sygnale.

— Słucham — odezwał się zachrypnięty głos.

— Krzysztof... — Zawahała się, bo jak przekazać wiadomość o cudzie? Powiedziała więc po prostu:

— Jestem zdrowa.

Potem zrelekcjonowała w skrócie, czego dowiedziała się od lekarza prowadzącego. Krzysztof milczał,

ale Marta mogła przysiąc, że usłyszała zduszony spazm szlochu, a potem głębokie westchnienie ulgi.

— O której będziesz? — zapytał swoim zwykłym beznamiętnym tonem, choć zastanowiła ją lekka zadyszka, na którą dopiero teraz zwróciła uwagę.

— Dlaczego tak dyszysz?

— Dlaczego dyszę? Biegłem do telefonu.

— Nie wiem, o której przyjadę. Muszę jeszcze zrobić zakupy. Myślę, że za jakieś dwie godziny. Kupię coś pysznego i przygotowuję uroczyste śniadanie.

— W porządku, kochanie, wracaj ostrożnie. Czekam na ciebie — zakończył rozmowę, rozłączając się.

I to wszystko?

Marta przez moment pozostała w nieruchomej pozycji, z telefonem przy uchu. Straszne myśli przysły jej do głowy. Chciała je szybko odrzucić, ale... skąd ten przyspieszony oddech Krzysztofa? Nie zwykł biegać nawet dla zdrowia, tym bardziej po domu. Uciął rozmowę tak nagle i — nie cieszył się zbyt. Niepewność wróciła ze zdwojoną siłą. Czy mogą być znowu szczęśliwi? Przecież już rok po ślubie bajka zaczęła się psuć. Krzysztof nadal był opiekuńczy, ale stawał się innym człowiekiem. Albo raczej ujawniał swoje prawdziwe oblicze. Powoli, bardzo powoli osaczał ją, ingerując niemal w każdą

dziedzinę jej życia. Decydował o jej strojach, fryzurze, diecie, kontaktach ze znajomymi, nawet z rodziną. Niczego kategorycznie jej nie nakazywał ani nie zabraniał, on tylko sugerował. Tym swoim oschłym, kostycznym tonem. A najdrobniejszy przejaw oporu karał milczeniem. Dlatego nie ścięła włosów, choć tyle przy nich było roboty. Dawno wyrosła z warokocy i marzyła jej się jakaś modna, krótka fryzura. Ale nie zносиła cichych dni, więc ustąpiła. Matka zbyt często stosowała tę karę. Nauczyła się nie protestować, chciała, żeby był zadowolony.

Przywykli do układu bez kłótni i ekscytacji, bez namiętności i szczerości. Miało być idealnie, a zrobiło się nijako. Wkradła się rutyna, z czego Marta doskonale zdawała sobie sprawę. Niestety, nie potrafili o tym rozmawiać, unikali tematu i problemu, nie chcieli, a może nie potrafili tego naprawić. I wtedy — chłoniak! Przekleństwo i wyzwolenie zarazem. Choroba zbliżyła ich do siebie, dając cień nadziei na odnowę ich związku. Zaczął liczyć się z jej zdaniem, przynajmniej w niektórych kwestiach. Przecież wysłuchał jej i pozwolił szukać ratunku w małej wiosce na południu, nawet pojechał tam razem z nią.

Poczuła wdzięczność i wzruszenie. Spojrzała na zegarek. Za parę minut odjeżdżał autobus, więc musiała się pospieszyć. Po parunastu metrach odwróciła

się, ogarniając wzrokiem szpital i uśmiechając się przez łzy. Jednak odniosła zwycięstwo i wiedziała, komu powinna podziękować. Odruchowo dotknęła medalika ukrytego pod bluzką i pomyślała ciepło o Marii — tajemniczej kobiecie z Podkarpacia.

Zdecydowała, że na zakupy wybierze się razem z mężem, do sklepiku na rogu. Przecież muszą uczcić jej cudowny powrót do zdrowia. Tak, wspólnie wybiorą jakieś wino na wieczór albo lepiej — szampana. Rozmyślenia przerwał nadjeżdżający autobus linii 42.